

COURTNEY WALSH



Gdyby się nie wydarzyło

Tytuł oryginału:

Is It Any Wonder

Autor:

Courtney Walsh

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Magdalena Peterson

Redakcja:

Dominika Wilk

Korekta:

Natalia Chrobak-Lechoszest

Skład i opracowanie graficzne:

Anna Brodziak

Zdjęcie na okładce: © Magdalena Wasiczek / Trevillion Images

Wektory: freepik / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-51-8

© 2021 by Courtney Walsh

© 2022 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo with permission of Tyndale House Publishers

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2023, wydanie I

Druk: Drukarnia Skleniarz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

COURTNEY WALSH

Gdyby się nie wydarzyło



Tłumaczenie: *Magdalena Peterson*

*Dla moich czytelników, z których wielu
stało się moimi przyjaciółmi.
Jestem Wam ogromnie wdzięczna.*

Prolog

Szanowny Panie Boggs!
Minęło już pięć lat od Pańskiej śmierci, a ja od tamtej pory codziennie o Panu myślę. Kiedy zamykam oczy, mogę sobie wyobrazić, że mam dziesięć lat, a Pan jest na plaży i buduje zamki z piasku ze mną i z Codym.

Inni rodzice nigdy nie mieli ochoty się z nami bawić, a Pan zawsze był chętny. Pewnie nie lubił Pan zakopywania w piasku aż po szyję... ale pozwalał Pan nam to robić. Nawet uśmiechał się Pan wtedy do zdjęć.

Nie mogę przestać myśleć, że to, co się stało, to moja wina. Przynajmniej pośrednio. To znaczy, proszę mnie nie zrozumieć źle. Nie znoszę, kiedy na filmach ludzie wydają się załamani, bo mają poczucie winy z powodu czegoś, co ewidentnie nie jest ich winą. Ale to, co się stało z Panem, było w jakiś sposób z mojej winy, prawda?

To chyba nic dziwnego, że chciałabym to cofnąć? Chciałabym powiedzieć, że jest mi przykro. Chciałabym jakby przewinąć film i zmienić cały tamten wieczór. Zraniłam Pana. Zraniłam Cody'ego. Zraniłam panią Boggs i Marley. Zraniłam nawet moich rodziców, ponieważ w chwili, kiedy powiedzieli nam, że Pan nie żyje, wszystko się zmieniło. Było tak, jakbyśmy wpadli do słoja z melasą, jakbyśmy się poruszali

w zwolnionym tempie i przedzierali się przez gęstą chmurę smutku.

Czy ta chmura kiedyś zniknie? Czy będzie zawsze smutnym przypomnieniem tego, że decyzja głupiej dziewczyny mogła mieć wpływ na życie tylu ludzi i zniszczyć tyle przyjaźni?

Nie wiem. Nie wiem też, dlaczego to piszę. Nie przeczyta Pan przecież tych słów. Jednak to pomaga, przynajmniej trochę. Czuję się lepiej, kiedy mogę to wyrazić. Kiedy mogę powiedzieć, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co zrobiłam.

Mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczy mi Pan. Że wszyscy mi wybaczą.

*Z wyrazami szacunku
Louisa*

Rozdział 1

SIEDEM LAT PÓŹNIEJ

To nie miało się zdarzyć.

Nie żeby teraz był czas na zastanawianie się nad tym. Nie przy narastających falach, wiejącym wietrze i odpływającym wiosłem, popychanym coraz dalej przez sztorm, którego nie przewidziała.

Louisa Chambers wzięła gwałtowny oddech, a fala wezbrała i rozbiła się na jej głowie. Wierzgała nogami w wodach cieśniny Nantucket, wdrapując się z wysiłkiem na deskę.

To miał być spokojny poranek na wodzie.

Westchnęła. Ojciec byłby na nią wściekły, gdyby zginęła, pływając na desce. Powiedziałby: „Ile razy ci mówiłem, żebyś zakładała kamizelkę ratunkową? Nie igra się ze śmiercią, Kiciu”.

Nadal mówił do niej „Kiciu”. Chyba by jej tego brakowało, gdyby umarła.

Sama aż za dobrze zdawała sobie sprawę z prawdziwości śmierci i nie potrzebowała, żeby jej o tym przypominać. Ale może śmierć musiała się dowiedzieć, że Louisa się jej nie boi.

Nie boję się. Jestem silna. Jestem silniejsza, niż wyglądam.

Ponownie zmusiła się do zachowania spokoju. Wiosło oficjalnie przepadło.

Nie była daleko od plaży Madaket. Zamierzała trzymać się deski i dopłynąć tam, poruszając nogami. Było wcześniej, tuż po wschodzie słońca, ale ktoś pewnie zaraz wstanie. Może pan Dallas ze swoim golden retrieverem. Albo ktoś z McGuire'ów.

Jednak wiatr nasilił się i spychał ją w przeciwnym kierunku, na głębszą, bardziej wzburzoną wodę. Brzeg stawał się coraz odleglejszy, a fale znosiły ją jeszcze dalej.

Ręka ześlizgnęła się jej z deski. Z trudem wzięła oddech, kiedy fala chlusnęła jej w twarz.

„Ile razy ci mówiłem, żebyś zakładała kamizelkę ratunkową?”

Głos ojca zabrzmiał jej w uchu, tym razem głośniejszy – i słuszniej. Powinna go była posłuchać. Powinna...

Chlust. Kolejna fala. Tym razem wypełniła jej usta wodą. Louisa ją wypłula i wdrapała się na deskę, ledwie się jej trzymając, a woda znowu w nią uderzyła.

Zakaszłała, chwytając się deski z całych sił i rozglądając się wokół. Brzeg, horyzont, otwarte morze.

Nic.

Właśnie wtedy zaczęła sobie uświadamiać, że tak naprawdę może być w niebezpieczeństwie. To wtedy pomyślała: *Mogę tu zginąć.*

Kto zająłby się przyjęciem rocznicowym Timmonsów, gdyby umarła? Jak udowodniłaby Ericowi, że między nimi już nic nie było, nawet jeśli w rzeczywistości nie miała do końca pewności? Kto by podlewał ten głupi kwiatek doniczkowy, który zamówiła jej matka z firmy Valero and Sons, „bo jeśli kiedykolwiek chciałabyś mieć dzieci, musisz ćwiczyć utrzymanie czegoś przy życiu”?

Chciała mieć dzieci, więc zależało jej, żeby roślina przeżyła.

Ułożyła się tułowiem na desce i próbowała nie myśleć o rekinach. Starła się przywołać w myślach coś weselszego.

„Plaże na wyspie Nantucket zostaną zamknięte po co najmniej kilkunastu przypadkach zauważenia rekinów”. Był to nagłówek artykułu, na jaki natknęła się w sieci zaledwie dwa tygodnie temu. Czy rekiny zniknęły? Czy właśnie teraz ją otaczały?

Potem, nagle, w jej głowie zaświtał obraz uśmiechniętego Daniela Boggsa.

Czy to tak się pan czuł, panie Boggs?

Ten obraz nie miał jej wystraszyć. Nie teraz, kiedy tak dobrze sobie radziła. Jednak fala rzuciła ją do przodu. Ledwo utrzymała deskę. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

W tej chwili potrzebowała cudu.

Pan Boggs prawdopodobnie modlił się o to samo, a wiemy, jak to się skończyło.

Może właśnie na to zasługiwała. Może to była zapłata za to, co zrobiła. Może w ten sposób Bóg przypominał jej, że działania niosą za sobą konsekwencje.

Działania takie jak niezałożenie kamizelki ratunkowej. Albo złamanie komuś serca.

Od ilu już lat próbowała naprawić swoje błędy? Czy kiedykolwiek by się to udało? Czy uzyskaby przebaczenie?

Uświadomiła sobie, że w zwykłe dni świetnie jej wychodziło odsuwanie od siebie tych myśli. Prawdę mówiąc, zazwyczaj nawet nie musiała się o to starać.

Najwidoczniej zmierzenie się z końcem życia przynosiło coś takiego. Głębokie zanurzenie się w sprawy, których

skutecznie unikała. Tak jakby nie było ważniejszych rzeczy, o których trzeba myśleć. Na przykład przeżycie.

Gdyby tylko wiedziała, jak to zrobić.

Panie, jestem niemal pewna, że nie zasługuję na ratunek, i nie mam w zwyczaju prosić o pomoc, o czym chyba wiesz. Byłoby jednak wspaniale, gdybyś zmienił kierunek wiatru i popchnął mnie w stronę brzegu.

Fale porywały ją jednak coraz dalej.

Miała podejrzenie, że na cuda był obecnie duży popyt i może po prostu nie nadeszła jej kolej. Kurczowo trzymała się deski; wzmagał się w niej strach. Gdzieś w głębi przybie-rała na sile panika, a ona próbowała nie pozwolić, żeby ją ogarnęła.

Chciała zrobić w myślach listę, tak jak zawsze, kiedy usi-łowała łagodzić lęk.

Wezbrała kolejna fala, a ona krzyknęła (choć nie nale-żała do osób, które to zwykle robiły, więc sama była zasko-czona), ale woda ustabilizowała ją i pozwoliła jakoś utrzy-mać deskę.

Lista. Dobrze... jaka lista? „Rzeczy do zrobienia” wyda-wały się w obecnej sytuacji dosyć bezcelowe.

Kolejna fala i Louisa połknęła wodę. Zakaszłała mocno, po czym wzięła oddech.

Rzeczy, których żałuję, że nie zrobiłam w życiu. Lista spo-rządzona na chwilę przed nieuchronnie zbliżającą się śmiercią.

Szkoda, że nie założyłam kamizelki ratunkowej.

Szkoda, że nie sprawdziłam prognozy pogody.

Szkoda, że nie użyłam wodoodpornego tuszu do rzęs (bo kiedy znajdą moje ciało, miło by było nie wyglądać tak trupio).

Szkoda, że zmarnowałam tyle czasu na Erica Andersona.

Szkoda, że nie przeprosiłam.

Szkoda, że nie wysłałam listów.

Szkoda, że nie dożyłam do trzydziestych urodzin.

Przecież przez dwanaście lat zastanawiała się, czy on się tam zjawi. A może tamten pakt poszedł dawno w zapomnie-nie, został odłożony gdzieś na samo dno.

Kolejna fala zupełnie przykryła Louise i wciągnęła na tak długo, że kobieta była pewna, że już zgubiła drogę na po-wierzchnię, do powietrza. Ale nie. Jeszcze jedno szarpnięcie i znowu można było nabrać tego cudownego tlenu.

Wzięła gwałtowny oddech, po czym zakaszłała.

Szkoda, że się nie zakochałam.

Spojrzała na niebo, które stało się szare i pochmurne. Nie zdawała sobie sprawy, że żałuje aż tylu rzeczy. Szczękały jej zęby i zaczęła odczuwać zmęczenie. Fale dawały jej w kość. Prawie się już poddała, kiedy zauważyła światło – gdzieś tam w cieśninie była łódź.

Próbowała podnieść rękę, ale była ona bardzo ciężka. Sta-rała się wciągnąć na deskę, ale nie miała siły. Może jednak wcale nie szło jej aż tak dobrze. Może już prawie umarła. Zerknęła w poszukiwaniu białego światła, ale nic nie zoba-czyła.

Może białe światła były jedynie dla ludzi, którzy nie mieli na sumieniu czyjejś śmierci.

Nie uporała się z tym aż do tego momentu życia, cho-ciaż wydawało się, że nie będzie ono trwać dużo dłużej. Chyba że ktoś w tamtej łodzi był odpowiedzią na jej mo-dlitwę.

Musiała pozostać przytomna. Musiała się trzymać. Musieli ją zobaczyć.

Proszę, zauważcie mnie.

Łódź przecinała fale, walczyła z wiatrem, a Louisa jeszcze raz spróbowała pomachać.

Szkoda, że się nie zakochałam.



To miała być zwykła procedura. Lato na Nantucket nawet się nie zaczęło, ale kiedy Cody Boggs zobaczył żółte wiosło unoszące się na wodzie, poczuł ściśnięcie w brzuchu.

Chwilę wcześniej dostali zgłoszenie od kogoś z plaży, że w wodzie prawdopodobnie ktoś jest.

– Trudno dokładnie stwierdzić – powiedział rozmówca. – Ale pomyślałem, że powinienem zadzwonić. Jeśli to jakiś człowiek, jest w niebezpieczeństwie.

Cody właśnie płynął, po raz pierwszy na łodzi ratowniczej razem z załogą, więc szybko ruszyli w kierunku zgłoszonej osoby. Mieli już zrezygnować, kiedy Cody zauważył to coś. Wiosło, ale bez kajaka. Żadnej deski czy kanoe, żadnej osoby.

Dziwne.

– Zwolnij – powiedział do sternika. Zerknął na jednego z bosmanów. – Widzisz to?

Na czole mężczyzny pojawiła się zmarszczka.

– Wiosło? Tak.

– Rozejrzę się. – Przepchnął drzwi wahadłowe i ruszył na pokład, gdzie stało pozostałych dwóch mężczyzn.

– Widzisz coś?

– Nie jestem pewny. – Cody przyglądał się wodzie przez lornetkę, wypatrując jakiegokolwiek znaku. Zatrzymał wzrok na brzegu Nantucket.

Jedynego miejsca, co do którego przysięgał sobie, że nie będzie tam stacjonował. Jedynego miejsca, w którym był potrzebny.

Wiosło podskoczyło w wodzie. Wiatr się wzmógł, tak jak to się zdarzało, kiedy pogoda zmieniała się bez ostrzeżenia.

Można było pomyśleć, że dzisiaj na wodzie będzie przyzwoicie. Sam by tak uznał w pierwszym odruchu, wiedział jednak, że oceanowi nie wolno nigdy ufać.

Sternik skręcił i prowadził łódź równoległe do wyspy, mijając plażę Madaket. Nie było widać nikogo w niebezpieczeństwie. Jednak nikt z załogi nie chciał wrócić do bazy, nie mając najpierw absolutnej pewności, że zrobili wszystko, żeby upewnić się, że nikogo tutaj nie było.

Cody przeniósł wzrok z plaży na ocean i przyglądał się nieprzebranym wodom, doszukując się wszelkich oznak życia.

Nic.

Jego intuicja zazwyczaj nie zawodziła. Był zawsze gotowy na to, że wiatr się może zmienić – zarówno na wodzie, jak i w życiu.

Sternik otworzył drzwi do kabiny.

– Wracamy do bazy?

– Wypłynij jeszcze trochę dalej – odkrzyknął Cody.

Mężczyzna wykonał polecenie, a Cody wyszeptał modlitwę. Tę, z jakiej zwykle korzystał w takich sytuacjach.

Panie, jeśli mogę kogoś uratować, poprowadź mnie do tej osoby.

Płynęli, a wiatr popychał czterdziestosiedmiostopową łódź jak jakąś szmacianą lalkę. Oddalili się od brzegu, a Cody odłożył lornetkę i zdał się na własny wzrok, żeby znaleźć kogoś, kto mógł być w niebezpieczeństwie.

Oczy, intuicja i Bóg. Im zawsze ufał najbardziej.

Może faktycznie nikogo nie było. Może tym razem intuicja go zawiodła.

– Nie ma tu nikogo, szefie – zawołał jeden z członków załogi, Jessup. – Wiatr robi się coraz okropniejszy. Powinniśmy zawrócić.

Cody stanął mocno na pokładzie, a przez burtę wlała się woda. Tak, okropny dla nich, ale śmiertelnie niebezpieczny dla kogoś, kto był w oceanie bez wiosła.

Może wiosło zostało zmyte z czyjś pomostu. A może ktoś już zginął, a oni znaleźli się tam za późno.

Kiedy kolejna fala zachwiała łodzią, stojący obok niego mężczyźni stracili równowagę i złapali się relingu. Cody nie poruszył się nawet o centymetr.

Łódź znów się przechyliła, a on wypatrzył przed nimi coś czerwonego. Podniósł rękę, po czym zwrócił się do sternika, który zauważył to samo i teraz pędził w tamtym kierunku.

To mogło nie być nic. Ale co, jeśli było inaczej?

Czerwony obiekt zniknął, a Cody ponownie wziął lornetkę i przyjrzał się uważnie wodzie. Fale pokryte białą pianą rozproszyły się, a on znów zobaczył obiekt. Tym razem miał już pewność, że nie był to kawałek wyrzuconego plastiku, tylko deska, której uczepiony był człowiek.

Tamten mężczyzna z plaży miał rację. Ktoś był w wodzie.

Sternik powoli poprowadził łódź bliżej kobiety, a Cody skupił na niej wzrok. Kiedy byli wystarczająco blisko, jeden

z członków załogi rzucił jej koło ratunkowe. Kobieta sięgnęła po nie, ale fala odepchnęła je poza jej zasięg.

– Wygląda na zmęczoną – powiedział Cody, bardziej chyba do siebie. Jak długo już tu była?

Serce zabiło mu szybciej. Miał odpowiednie przeszkolenie, ale zawsze była w nim jakaś część, która musiała uspokoić jego myśli, kiedy w grę wchodził ocean.

Była też część pełna wściekłości wobec morskich odmętów. Taka, która nie chciała pozwolić, żeby wygrały.

Jego kolega przyciągnął koło ratunkowe i spróbował jeszcze raz, ale brutalne fale załapały głowę kobiety i wciągnęły ją pod powierzchnię. Ręka ześlizgnęła jej się z deski. Walczyła teraz, żeby ją utrzymać.

Fale ponownie ją załapały, a po kolejnym uderzeniu wynurzyła się jedynie deska.

Cody nie został mianowany dowódcą z powodu swojej impulsywności. Wręcz przeciwnie. Był bardzo opanowany. Zachowywał spokój w obliczu niebezpieczeństwa i był z tego dumny.

Może wyspa Nantucket go zauroczyła i pozbawiła owoców pracy, jaką wykonał przez dwanaście lat, żeby poradzić sobie z tym, co zabrał mu ocean. Jak inaczej można wytłumaczyć to, że chwycił okulary ochronne i wskoczył do rozszalałej wody, żeby kobieta nie utonąła?

Zdeterminowany, żeby nie pozwolić wygrać dzisiaj oceanowi.

Sunął przez wodę, nie dając się spowolnić silnemu sztormowi. Był przygotowany do czegoś takiego. Dla czegoś takiego żył. Aby powstrzymać ocean przed pochłanianiem ludzi. To był jego cel, a on nie lubił przegrywać.

Woda nie miała prawa zaszkodzić tej kobiecie, nawet jeśli była ona na tyle nierozsądna, że wypłynęła, nie sprawdzając wcześniej prognozy pogody.

Nie dzisiaj, oceanie. Jeśli ją chcesz, najpierw będziesz musiał uporać się ze mną.

Uchwycił się koła ratunkowego, które było przyczepione do łodzi, a kobieta wynurzyła się kilka metrów dalej, wypchnięta przez rozgniewane fale. Wyglądało na to, że już nie pływała. Cody rzucił się w jej stronę i złapał ją pod ręce, a tymczasem fala uderzyła w nich oboje.

Trzymał się koła ratunkowego, a dwóch członków załogi ciągnęło ich do siebie. Dotarli do łodzi i mężczyźni pomogli im się dostać na pokład.

Natychmiast przystąpili do akcji. Cody szybko zdjął okulary i zaczął sprawdzać, czy kobieta oddycha. Jej ciało było bezwładne, a puls ledwo wyczuwalny.

– Niech pan pozwoli sobie pomóc – odezwał się jeden z mężczyzn, a dopiero wtedy Cody uświadomił sobie, że wykonywał teraz zadania, które powinny należeć do całej załogi, i pewnie będzie musiał za to później odpowiedzieć.

Nie zważał na to. Może miał coś do udowodnienia. Może to właśnie temu oceanowi i tej wyspie trzeba było przypomnieć, że go już nie pokonają.

Raz, dwa, trzy – liczył w myślach, wykonując sztuczne oddychanie. Żadnej reakcji.

Nie był to najlepszy początek służby w Nantucket. Wrócić po tylu latach tylko po to, żeby przegrać pierwszego dnia? To się nie mogło stać.

Ponownie przyłożył usta do jej ust. *Raz, dwa, trzy.*

– Spóźniliśmy się – odezwał się ktoś z załogi.

Cody potrząsnął głową, a właśnie wtedy kobieta otworzyła oczy, po czym kaszłąc, wypłuła sporo wody. Odwrócił ją.

Podpłynęła do nich jeszcze jedna łódź ratownicza, a Cody aż westchnął z ulgą. *Dzięki Ci, Panie.*

Kobieta ponownie zakaszłała, po czym spróbowała usiąść. Nie była drobna i wątła, ale umięśniona i wysportowana – osoba, dla której aktywność fizyczna była częścią codziennego życia. Czy będzie wściekła, kiedy się zorientuje, że trzeba ją było ratować? Wiele kobiet tak miało.

Jednak kiedy się poruszyła i skierowała na niego spojrzenie błękitnych oczu, nie znalazł w nim gniewu ani irytacji. Rozpoznała go.

– Cody?

Odchylił się i przysiadł na piętach, po czym zaczął się jej uważnie przyglądać. Piegom na nosie, włosom pociemniałym od wody morskiej i znajomym oczom jasnym jak niebo.

– Louisa? – Jej imię ledwo wydobyło mu się z ust, niemal jak szept.

– Znacie się? – Jessup przyklęknął obok.

Nie oderwała od niego oczu, odkąd wypowiedziała jego imię.

Czy w jej głowie też przelatywała teraz cała ich historia? Czy zastanawiała się, co się z nim działo? Kogo kochał? Dlaczego wrócił? Dlaczego nigdy nie zadzwonił? Czy chciała wiedzieć, jak on i jego rodzina poradzili sobie po tym, jak wyjechali z wyspy? A może myślała o tamtym głupim pakcie, jaki zawarli lata temu? Kiedy jeszcze wszystko było proste i wydawało się, że nie będzie dnia, gdy nie będą razem?

Oczywiście, możliwe, że nie zastanawiała się nad żadną z tych rzeczy. Może po prostu myślała, że był idiotą, bo powiedział to, co wtedy powiedział.

Miałaby rację.

Ale istniał też cały świat, którego nie rozumiała, a on nie zamierzał go jej objaśniać. Wstał.

Jej wzrok podążył za nim.

Nie podobało mu się to. Nie lubił, kiedy na niego patrzono. Kiedy był zauważany. A na pewno nie przez Louise Chambers.

Załoga drugiej łodzi weszła na ich pokład i wzięła się do pracy. Wkrótce Louisa miała zostać zabrana do szpitala.

A kiedy już jej nie będzie, Cody może znowu zacznie oddychać.

Rozdział 2

Louisa siedziała w ciepłym szpitalnym łóżku i zastanawiała się, czy mogłaby opatentować nowy model szpitalnej koszuli, w której można by wyglądać nieco lepiej niż w namiocie, w który była w tej chwili przyodziana.

Nie żeby jej strój miał jakieś znaczenie, ponieważ, bądźmy szczerzy, prawdziwym celem było przywrócenie jej zdrowia. Jednak, naprawdę, to chyba nie przesada, żeby dziewczyna mogła dostać ubranie, które miałyby chociaż odrobinę kształtu? Przy długich włosach, splątanych od słonej wody morskiej, i nadal bladej twarzy, ponieważ dopiero co otarła się o śmierć, skorzystałaby z wszystkiego, co mogłoby jej pomóc.

Uświadomiła sobie, że te myśli były zupełnie nie w jej stylu. Zrzucała to na fakt, że niemal utonęła. Prawdę mówiąc, obwiniła Cody'ego Boggsa. Mężczyznę, który uratował jej życie.

Po przybyciu do szpitala została zbadana, a jej stan oceniono jako „dobry”. W rezultacie czekała teraz na wypisanie z oddziału ratunkowego przez młodego lekarza, który wyglądał jak dwunastoletni Doogie Howser, i oznajmił, że chciałby ją poobserwować jeszcze przez kilka godzin, zanim wypuści ją do domu.